



Julian

TUWIM

*Kwiaty
polskie*

Julian Tuwim

KWIATY POLSKIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67950-25-1

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1993

Spis treści

Dedykacja i motto

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Epilog

Dedykacja:

Żonie

Motto:

Próchno się w gwiazdy rozlata...
Juliusz Słowacki „Beniowski”

I wszędzie fatum namiętności,
I nic przed losem nie obroni
Aleksander Puszkina „Cyganie”

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

I

Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wzwyż i stromo.
W barwach podobne do ołtarza,
Kształt serca miały lub wachlarza
Albo palety. Z niej to, kwietnej,
Kolory brał bohomas świetny,
Rafael Rawy i Studzianny,
Kiedy ku czci Najświętszej Panny
Malował uczuć swoich kwiaty
W tonacji bladej, choć pstrokatej.
Ja nie o wiechciach z byle chwastu,
Stawianych na werandzie na stół,
Nie o wiązkach z kwiatów polnych,
Może i wdzięcznych, lecz dowolnych,
Nie o „naręczach”, specjalności
Wiochen i starszych dam rozwianych,
Noszących je dla wykazania
Polskości swej lub niewinności;
Ja o bukietach z kunsztem, ładem,
Z przewodnią myślą i układem,
O zaściankowych, niestołecznych,
Lecz ogrodniczych, lecz dorzecznym,
Z kwiatów ścinanych nożycami,
Ściąganych pasemkami łyka
Przez popękane, czarnoziemne,
Zgrubiałe ręce ogrodnika.
Spójrz, jak przejmuje i przetyka
Łodygi ich między palcami,
Jak coraz nową barwą plami,
Przeplata, więzi i zamyka,
Znów kładzie, przewiązuje, ściąga.
Palcami jak na drutach robi –
I rośnie wizja półokrągła,
On wzmacnia ją, przystraja, zdobi,
Śledzi spod gęstych brwi oczyma,
Jak pełźnie w górę klombik pnący,
A taśmę łyka w zębach trzyma,
Milczek surowy – bo tworzący.

Patrz: znowu wybrał – odgryzł – wstawił,
Na przejmy chwycił i przewinał,
Łyczaną ścieśnił pępowiną

I świeżym rzutem pojaskrawił,
Tu tknął, tu trzepnął, tutaj prztyknął,
A bukiet zaraz się odezwał:
Rezedą szepnął, różą krzyknął,
Westchnął, pokiwał się i przestał.
Więc on palcami po bukiecie
Przejechał się jak po szpincecie,
Falistym musnął go pasażem
I wtem – do góry go nogami,
Łodygi chlasnął nożycami,
Że aż omdlały pod żelazem,
Aż dreszczem poszło przez ogrody,
Aż pobladł w grządkach lud pstrokaty...
Więc mistrz nabiera do ust wody
I opryskując cuci kwiaty.

Jakiż to bukiet? Zaraz służę
Opisem ścisłym. Najpierw róże.

Nie karminowe, kosmetyczne,
Róże królowe poetyczne,
Pragnące, pachnąc, uszczęśliwić,
Z łodygą jak balowa kibić:
Metr wysokości, płatki rżnięte
W krwawym koralu, zawinięte;
Róże Hiszpanki feudalne,
Nieopisanie seksualne,
Przy których by sam rubin pobladł,
Z jakimi na bajeczny obiad
Przychodził bogacz pełnokrwisty,
Lawendą woniejący ogier,
Do giętkiej i wysokonogiej
Panny Anieli – smutnej, czystej,
Szarojedwabnej, no i z tymi
Wargami z lekka mięsistymi,
Którymi, po koniaku ciemnym
I mocnej kawie na wanilii,
Chwytała róży płomień silny
I warg Alfreda smak korzenny.
Piękna Aniela, utrzymanka,
Tańczyła na stołecznej scenie.
Przychodził do niej („po natchnienie”)
Ktoś inny jeszcze prócz amanta:
Marny wierszopis, neurastenik,
Z dziurami w płucach i w kieszeni.
Jest właśnie teraz: zły, pijany
I patrzy w róże wzrokiem szklanym;
Patrzy nie widząc; pije koniak
I młotem żar mu wali w skroniach,
I wie – bez róż – że ją zabije,

Czy dziś, czy jutro, czy za tydzień,
Choć nie wie nic i róż nie widzi,
I ciągle tamten koniak pije.
A róże nie zauważone
Jak rany jątrzą się czerwone,
Osypujące pierś kochanki,
Pięknej Anieli-utrzymanki.
I oto krwi morderczej kurzem
Już dymią gorejące róże...
Jak dziś, jak jutro, jak za tydzień,
Żegna się i do „Adrii” idzie.
Ja też tam siedzę z moją żoną,
Bardzo daleko zapatrzoną;
I patrzy na nas krwisty, brwisty,
Pijący przy stoliku whisky,
I puszcza z gęby kłęby dymne,
A w kłębach widać czerwone
Płatki odblasków, prawie krwawe,
I huczy noc pijackim hymnem...
Więc to nie takie róże. Inne.

W bukiecie wiejskim, jak wiadomo,
Róże są skromne, bo po-domu;
Nie tkwią w kryształach na wystawie
Za lśniąca taflą szkła w Warszawie,
Nie sterczą swą łodygą długą,
Jakby połknęły jedna drugą;
Bez aspiracji do salonu,
Bez wywodzenia się z Saronu,
Bez dąsów, pąsów i purpury,
Nie zadzierają głów do góry;
Jak porzucone narzeczone,
Trzymają główki opuszczone,
A oczy wznoszą – i tak trwają,
I spoglądając – przepraszają.
Owe z cieplarni emigrantki,
Sztamowych biedne familiantki,
Nie są wyniosłe ni zawistne,
Lecz dobroduszne, drobnolistne,
Gęste i niskie, krasne, kraśne,
Zawsze z żółtawym proszkiem w środku,
Dobre przy bluzkach u podlotków
Lub w szklance. Takie róże właśnie.
A woń kwiatowej mają wody,
Świeżej jak w mojej Łodzi młodej
Kwietniowy dyngus na Piotrkowskiej
I uśmiech Zosi Opęchowskiej.
Gdzie jesteś dziś, dziewczyno śliczna
O dwu warkoczach wyłożonych,
Na pierś, wzdłuż ramion, przerzuconych,

Smukła i smagła, i pszeniczna,
Miodna, dysząca plonem pszczelnym
I wiatrem w zbożu pochylonem,
I wczesnym na wsi dniem niedzielnym,
Gdy kolorowe, krochmalone,
Krajkami szumiąc wzorzystemi,
Ścieżką przydrożną idą z sioła
Kwietne dziewczęta do kościoła:
Z oczyma niebu odjętemi
I chabrom inowłodzkiej ziemi;
Choć wystrojone, idą boso,
Trzewiki na ramionach niosą.
Wczesnie na świecie – i po łące
Świeżości płyną parujące.
Ja, siadłszy na zwalonym drzewie,
Patykiem w pniu żywicznym grzebię,
Wyciągam bursztynowe pasmo
W nitkę wciąż cieńszą, aż pajęczą;
Las pachnie mocno, kwiaty brzęczą;
Zamykam oczy – jak w nich jasno!
Otwieram oczy – co to? o czym?
Urwana nitka... Gdzie warkocze?
Gdzie echo napiętego rymu?
Gdzie wiersz? gdzie sen?
„Kłębami dymu
Niechaj otoczę się”... I płaczę.

Drobnomieszczańskie nasze róże,
Różyczki raczej lub różęta,
Tak jak je widzę i pamiętam,
Z barwy przyrównałbym tynkturze
Na siódmej wodzie po purpurze.
Coś miały z barszczu i coś z malin
Rosnących dziko wśród rozwalin,
Gdzie żuźle, cegły, osypiska
I złom kredowy w słońcu błyska,
I rozpalony wielki kamień
(I błystki lśniącej miki na nim,
A pod nim wilgny, chłodny piasek
I panika spłoszonych mrówek:
Dla skarbów wymarzony schowek,
Więc ukrywałem je tam czasem...
O, czarodziejstwo tych kryjówek!) –
Gdzie stary trzewik szpilki szczyrzy,
Gdzie zardzewiały nocnik leży,
Gdzie na cykorii kwiat niebieski,
Falując, siada paż królewski,
Progenitury półjaskółczej,
Skrzydełka składa i rozkłada
I w lot – i na dziewannę spada:

Bardziej mu swojsko tam, bo żółciej;
Gdzie stare gonty, klepki z cebra
I smród, i żar, i końskie żebra
Albo zbieleły kundla szkielet,
I potłuczone szkło butelek,
Przez które widać świat na piwno,
Gdzie rozeschnięte kół obręcze,
Gdzie chaos zielska i rozbrzęczeń,
Gdzie parzę się o dzicz pokrzywną
I siekę kijem, mały wariat,
Roślinny lumpenproletariat –
Tam zawsze w rumowisku owem
Stał malinowy krzak, przybłąda.
Sam nie wie, jak się tu przyszwendał,
Lecz rósł, lecz trwał – i malinowe
Grube łyzy ronił... Jednym słowem,
Róż wiejskich czerwień rozcieńczona
Coś miała z malin, coś z buraków,
Coś z pomidorów i coś z raków,
Ot, jakaś niedoczerwieniona.

Ogrodnik, czuły na harmonię
I rozkład sił między barwami,
Rezedę przypiął pod różami.
Poeta dałby tu piwonie,
Lewkonie albo pelargonie,
Żeby słuchowi była radość,
By rymem wzmocnić tę harmonię –
Lecz on, kwiecistej znawca flory,
Patrzącym oczom czyniąc zadość,
Dbał nie o rymy, lecz kolory.
Posłuszny tedy barw naturze,
Kępką rezedę podparł róże.
Bo jeśli czerwień róż naoczna
Jakaś barszczowa jest, uboczna
(Patrz wyżej, bo już nie powtórzę),
To zieleń, tutaj mu niezbędna,
Też musi w tonie być podrzędna,
Inaczej – zginą biedne róże...
Przez zieleń brnąć i jej odcienie
Można, jak wiemy, nieskończenie
(Patrz *Zieleń*, bo już nie powtórzę),
Lecz gdy się pióro raz rozjedzie
(Rok nie pisałem, nawet dłużej),
To trudno! muszę o rezedzie.

Jak barszcz (pamiętaj i o uszkach!)
Przedstawił róże-prowincjałki,
Tak o rezedzie – ulęgałki
Niech barwą świadczą; owoc miałki,

Bękarty po karlicach gruszkach.
Zgniławe były i rudawe,
A gdy rozgryzłeś miąższ ich cierpki,
Fermentujący, ziarnkowaty,
Widziałeś brąz – brąz taki prawie
Jak cukier umoczony w kawie.
A przysypane są te kwiaty
Rdzą bardzo świeżą lub przetartą
Pomarańczową skórką. Rosną – –
Nie wiem, jak rosna; lecz że mszyste,
Gąbczaste, wilgne i porzyste,
Jakby szczeliny w nich otwarto,
By chłód chłoneły i ciemną nocną –
I że są rdzawe, więc w pobliżu
Musi być woda zielonawa,
Staw zarzęsiony, zgniła trawa
I jar bedoński na Zakrzyżu
– I stąd ten przyrodzony wyrzut,
I leśność kwiatu stąd wynika
(Za pozwoleniem botanika,
Który mi tutaj racji nie da,
Bo – ogrodowa jest rezeda).
A pachnie – – Właśnie! Jak opiszę
Woń, którą kwiat swobodnie dysze?
Ile słów trzeba i łamańców!
Jaki zawiły sprzęgnąć muszę
Metafor i porównań łańcuch!
Jak mózg utrudzę i wysuszę,
Zanim wykrętnie i wymyślnie
Pióro tę woń w wyrazy wciśnie,
W słowa bezradne i bezsilne,
W fałszywe słowa i omylne,
Co już, tuż-tuż, są niby blisko,
Już wlażyły w kwietny pył jak osa –
– I nic. A przytknąć kwiat do nosa,
Powąchać raz – i wie się wszystko.
Weź jaśmin. Choćbyś zamknął oczy,
On całą jaśmień mleczną leje
I żółtą farbą złociścieje,
I blaski listków swoich toczy,
I pąki jak jajeczka ptasie,
I giętkich krzaków gąszcz i trzepot
– Wszystko na dłoni masz, głuptasie,
Gdy raz nim westchniesz – choć na ślepo.
A róża, pachnąc samej sobie,
Sobie i głupiej twej osobie
(I niezawodnie innym różom,
Które na wyścig tamtej wtórzą),
Róża, wkrwawiona w dzień rozgrzany,
Składa ci paszport swój różany.

Ona w ogrodzie, ty w pokoju,
Ale ci całą siebie powie,
Jeśli na chwilę dzień u znoju
Wybłąga upragniony powiew:
Ten aromatów wierny aliant
Przywionie przez otwarte okno
Nią jedną tchnący, oczywisty,
Cudowny dowód osobisty,
Zawierający personalia.
Jak pachną niezapominajki
W glinianej misce pod kamieniem?
Jak narcyz, biały książę z bajki,
W kryzie, z zieloną długą szpadą?
Jakim wyrazić mam imieniem
Woń miękkiej mięty nad strumieniem?
Za aptekarską stanąć ladą
I poczęstować czytelnika
Pastą do zębów albo proszkiem?
A może pani dobrodzika
Pozwoli eliksiru troszkę?
A może podam na ochłodę
Angielkę pepermintu z lodem?
Bardzo orzeźwia zgrzanych gości,
A także, co do zieloności...
Rzecz by to była niepojęta,
Gdyby po tylu porównaniach
Ktoś nie wyrobił sobie zdania,
Jak (najdokładniej) pachnie mięta.
Z tym zastrzeżeniem i pointą
(Niechaj czytelnik się nie zachnie),
Że to nie mięta nimi pachnie,
Lecz wprost przeciwnie: one mięta.
Stwierdziwszy tedy niewątpliwie,
Że z „opisami” wielka bieda,
Należy uznać, że właściwie
Rezeda pachnie – jak rezedą.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI